

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącymi sosnami.

(Ciąg dalszy).

15

Wzrok Artura padł w tej chwili na nią. Złago-
dnieł równocześnie wyraz jego twarzy. Był to tylko
przebiegły chwilowy, ale nieomylnie zrozumiał i za-
gasł też zaraz, ustępując poprzedniemu wyrazowi
upartego zacięcia. Widoczne dla mnie było, że nie
chciał zdradzić uczuć swoich nawet przed swoim
advokatem — przedewszystkiem przed swoim adwo-
katem. Jeżeli mr. Moffet niepokoił się i wyczekiwał
czegoś — to oczywiście nie to dziewczętko było
tego powodem.

Pierwsze zeznania świadków dnia tego popierały
oskarżenie, nie korzystnie bowiem mówiły o zachowa-
niu się Artura od chwili śmierci siostry. Jego
późny powrót w południe dnia następnego, wygra-
żanie człowiekowi, którego w obciążających warun-
kach znaleziono na miejscu zbrodni, a ukrywanie
równocześnie obecności tam swojej, dopóki nagro-
madzone dowody i usilne badania policyjne nie wyr-
wały zeń przyznania się do tego; nawet to staranne
odtąd unikanie picia, wbrew zwyczajowi; pilnowa-
nie drzwi Karmeli i niespokojne nasłuchiwanie, co
ona może powiedzieć w gorączce; podejrzliwość
względem pielęgniarki, a już przedewszystkiem to
jego dziwnie przykre zachowanie się w dniu po-
grzebu siostry i żądanie otwarcia jej trumny;
wszystko to i inne jeszcze szczegóły wyciągnięto
przeciw oskarżonemu, wobec słabej tylko opozycji
ze strony adwokata, a prawie zupełnej obojętności
ze strony Artura. Uparcie spokojna twarz jego nie
zmieniała i wtedy wyrazu, gdy pokazano przysię-
głym pierścione, który wypadł z trumny jego sio-
stry i gdy dowodzono związku pomiędzy tem, a ręką
jego, wsuwana do trumny. Ten niegdyś bezmyślny,
goniący za przyjemnościami, pusty, lekkomyślny chło-
pak silnie miał nerwy. Wytrzymał mękę, którąby
złamać mogła odwagę i czelność najzatatwardzalszego
zbrodniarza.

A po tem wszystkim nadeszła wielka chwila
w dniu, chwila, w oczekiwaniu której tłumy napeł-
niły salę. Prokurator skończył, a młodszy obrońca
oskarżonego rozpoczął *plaidoyer* swoje przed ławą.

Niejednego zapewne spotkał zawód w tej chwili.
Młody i niedoświadczony prawnik mówił, jeżeli nie
wprost słabo, to z jakąś niepewnością w argumen-
towaniu, niezgodną z szczerem i gorącym zapewnie-
niem o niewinności klienta, czem rzecz swoją za-
kończył.

Nawet Artur odczuł złe wrażenie, tą wstępną
przemową wywołane. Parę razy w czasie jej trwa-
nia, a zwłaszcza przy końcu, zwracał się do mr. Mof-
feta z gorzką uwagą, wskutek czego czerwieniał się,
a raz nawet dał mu ostrą odpowiedź, tak że Artur
opadł na swoje miejsce, zdradzając po raz pierwszy
zaniepokojenie.

— Moffet jest chytry. Moffet chowa coś w za-
nadrzu. Poczekam, zobaczę, co on też gotuje! — po-
myślałem. A widząc rozpaczliwie błagalny wzrok
Elli, dodałem: — I ona także musi poczekać!

W odpowiedzi na jej spojrzenie potrząsnąłem
głową i położyłem palec na ustach, tym gestem wy-
rażając myśl moją. Zrozumiała mnie, widziałem.

W tej chwili adwokat zawezwał samego Artura,
by złożył zeznania w własnej obronie. Zaniepokoiło
mnie to. Widziałem, że i obaj adwokaci mają pe-
wne obawy.

Zauważyć było można pewną zmianę w tym
człowieku, od czasu, gdy wielu z obecnych widziało
go po raz ostatni. Fizycznie lepiej wyglądał. Porzu-
cenie złego nałogu odbiło się i na wyrazie twarzy,
godniejszym jakoś i szlachetniejszym. A jednak dzi-
wne było jego zachowanie i dziwna jego postawa.

Nawet przenikając jego pobudki, nie mogłem zro-
zumieć jego obojętności i tego braku oddziaływania
na fluktuacje, którym podlegała jego sprawa i na
usposobienie otaczających go. Czułem, że poza tem
jednym, że imię Karmeli i opinię Karmeli osłaniać
będzie do ostatka, choćby kosztem własnym, nieo-
bliczalnym on jest skądinąd i niejedną może nam
zgotować niespodziankę. Krzywoprzysięstwa należało
się obawiać i to nie w własnej obronie, a raczej
przeciwnie — czy też adwokaci jego domyślali się
tego? Czułem zarazem, że los Karmeli, poniekąd
i Elli, a w każdym razie mój, ważyć się teraz bę-
dzie na szali.

— Panie Cumberland — brzmiało pytanie — czy
zaszła jaka sprzeczka pomiędzy panem a siostrą
w ciągu popołudnia lub wieczoru drugiego grudnia?

— Tak jest.

I zaraz potem, jak gdyby mu mało było tego
prostego świadczenia, dodał spiesźnie:

— I nie pierwsza to była sprzeczka. Nie mo-
głem znieść tego, że trzymała mnie krótko, że
ganiła mój sposób życia i wydawanie pieniędzy.

Był to szczerzy wylew uczucia, ale może nie-
przezorny.

Przewodniczący, sędzia Edwards, spojrzał zdzi-
wiony na pana Moffet i na tego zuchwałego czło-
wieka, który w ten sposób wyrażał się w swojej
obronie. Słyszając zaś szmer na sali, zapukał w stół,
prosząc o ciszę.

Mr. Moffet, jak gdyby nie widział wyniku ryzy-
kownego swego kroku, ciągnął dalej z spokojem
człowieka, który widzi przed sobą daleki cel i z wolna
do niego zmierza.

— Czy nie zechciałby pan udzielić trochę szcze-
gółów? Co mianowicie nie podobało się siostrze pań-
skiej w pańskim sposobie życia i wydawania pie-
niędzy?

— Potępiała moje upodobanie picia. Nie po-
dobało jej się to, że powracałem o późnych godzi-
nach i często w stanie nietrzeźwym. Ja nie zno-
siłem jej upominań, gniewała mnie to, że nieraz od-
mawiała mi pieniędzy, gdy chciałem z przyjaciółmi
pohulać. Nie było zgody między nami. Ona często
i niepotrzebnie cierpiała przezemnie. Teraz tego
żałuję; dobrą siostrą dla mnie była, choć ja wtedy
tego nie rozumiałem.

Wypowiedział to głosem cichym, ale z takim
spokojem przejęciem, że to znowu obudziło szmer
na sali i znowu przewodniczący z trudem uspokoi-
jąc musiał publiczność.

Mr. Moffet spojrzawszy na prokuratora Foxa,
który zdradzał niejake zdziwienie, ciągnął badanie
swoje dalej:

— Panie Cumberland, zechciej nam pan powie-
dzieć, kiedy po raz pierwszy zaszła w panu ta zmiana
w ocenianiu siostry?

Mr. Fox zerwał się. Zaraz jednakże usiadł. Wi-
docznie pomyślał, że lepiej, by oskarżony wypowie-
dzał się w pełni. Być może, że pożałował swojej
względności, gdy poważnie chyłąc głowę, Artur od-
powiedział:

— Gdym ujrzał mój dom osierocony przez tę
jedną straszną noc. Jedna siostra w domu umiera,
ofiara gwałtu — druga bezprzytomna ze strachu,
czy innej podobnej przyczyny... miałem czas myśleć
i zastanowić się. Tak też uczyniłem.

Proste to słowa, gdy się je czyta albo słyszy
powtórzone; ale w tej natłoczonej sali, gdzie wszyscy
uszy nastawiali, by pochwycić kłamstwo, które zda-
wało się jedyną ucieczką dla tego pozorami winy
opłatanego człowieka, padły te proste słowa, nie obli-
czone na efekt, z siłą, budzącą nowe nadzieje w tych,
którzy uwolnienia jego pragnęli.

Obrońca, jak gdyby chcąc wykorzystać nastrój
chwili, stawiał ważne bardzo pytanie:

— Kiedy po raz ostatni widziałeś pan siostrę
swoją Adelę przy życiu?

Artur odpowiedział najspokojniej:

— Owego wieczora przy obiedzie. Wychodząc
z pokoju, obejrzałem się na nią. Nie patrzyła na
mnie; to też trzasnąłem drzwiami i poszedłem na
górze. Może za jaką godzinę później wyszedłem
z domu i poszedłem pić. I piłem — ale jej już nie
zobaczyłem, aż dopiero w trumnie.

Wierzyłem mu, wiedziałem, że nie skłamał. Był-
bym poznał odrazu, gdyby się zdobywał na kłam-
stwo.

Mr. Moffet natychmiast stawiał następne pytanie:

— Panie Cumberland, mówisz pan, żeś widział
siostrę w trumnie. Kiedy to było?

— Ku końcowi obchodu pogrzebowego, na chwilę
przedtem, nim ją wyniesiono.

— Czy wtedy po raz pierwszy i jedyny widzia-
łeś ją pan, złożoną w trumnie?

— Tak, po raz pierwszy i jedyny.

— A samą trumnę, czy widziałeś pan przedtem?

— Nie.

— Nie zbliżałeś się pan do trumny, nie doty-
kałeś jej wcale?

— Nie, panie.

— Panie Cumberland, pan słyszałeś, że wspo-
minano o pierścionku, który siostra pańska nosiła
za życia, a którego po śmierci nie znaleziono na jej
palcu...

— Słyszałem, owszem.

— Pamięta pan ten pierścione?

— Pamiętam go.

— Czy to ten?

— Tak, o ile mogę sądzić z tej odległości.

— Proszę podać pierścione oskarżonemu — na-

kazał przewodniczący.

Podano Arturowi pierścione. Obejrzał go i rzekł
z goryczą:

— Poznaję go. To Adeli zaręczynowy pierścione.

— Czy ona miała ten pierścione na palcu przy
obiedzie?

— Nie mogę twierdzić na pewno, ale myślę, że
tak. Gdyby go nie miała, byłbym to chyba zau-
ważył.

— Dlaczego, jeśli wolno zapytać?

Po raz pierwszy oskarżony zarumieniał się i z wy-
rzutem spojrzał na obrońcę. Odpowiedział jednakże:

— Gdyż był to symbol jej narzeczeństwa, w które
nie ufałem i którego nie pochylałem. Byłbym z ra-
dością widział dowód, że ono zerwane.

Mr. Moffet uśmiechnął się zagadkowo.

— Panie Cumberland, jeżeli nie jesteś pan pe-
wien, czy go widziałeś wtedy, to gdzie go pan wi-
działeś i kiedy?

Szmer wzruszenia przebiegł po sali. Co on od-
powie? Głos Artura podniósł się, nieco szorstko,
ale bez drżenia:

— Widziałem ten pierścione, gdy mi go poli-
cja pokazała, pytając, czy go poznaję.

— Czy to ten jedyny raz widziałeś go pan aż
do obecnej chwili?

Chłodno, z naciskiem, nie okazując wzruszenia,
odpowiedział oskarżony:

— Tak jest, ten jedyny raz.

Po całej sali przebiegły westchnienia ulgi i pod-
niecenia. Prokurator Fox skrzywił usta pogardliwie.
Przysięgli jednak nie spojrzeli na niego; wszyscy
ciekawie, uważnie parzyli na oskarżonego, który
w ten sposób po raz drugi wyraźnie, niedwuzna-
cznie zaprzeczył swej winie.

Mr. Moffet zauważył to i zacisnął usta z innym
jednakże wyrazem, niż jego sławny przeciwnik. Nie
czekając, aż ostygnie nastrój danej chwili, ciągnął
bez przerwy dalej:

— Czy możesz pan to zaprzysiądz, że widzia-
łeś ten pierścione raz jeden tylko od czasu śmierci
siostry i to wtedy, gdy go panu w biurze sędziego
śledczego pokazywano?

— Mogę.

— Czy to ma znaczyć, że ten pierścione nie
był w ogóle w pańskim posiadaniu przez cały ten
czas?

— Twierdzę to.

— Panie Cumberland, wielu świadków zeznało,
że widzieli pana, wsuwającego rękę do trumny sio-
stry w oczach duchownego i uczetników pogrzebu.
Czy to jest prawda?

— Tak jest, to prawda.

— Czy ten postępek nie był dość niezwykły?

— Być może. Nie zastanawiałem się wtedy nad
tem. Musiałem spełnić obowiązek i spełniłem go.

— Obowiązek? Czy nie zechce pan wyjaśnić
sędziom przysięgłym, jaki to był obowiązek?

Oskarżony podniósł głowę i spuścił ją znowu.
I on i wszyscy obecni czuli uroczystą ważność tej
chwili. Nie mogłem oderwać oczu od twarzy Ar-
tura, ale czułem, z jakim wzruszeniem Ella wycze-
kiwać musi słów jego.

Odpowiedział, ale głosem mniej pewnym, niż do-
tąd. Zdawało mi się nawet, że zadrżał.

— Buntowałem się przeciw życzeniom mojej
siostry; martwiłem ją, oszukiwałem ją aż do osta-
tniego dnia, gdy podła, mordercza śmierć ją zabrała...
A wszystko to dlatego, że piłem. — Tu oczy jego
zabłyły i wyraz męskiej energii zaświecił mu na
twarzy. — Chciałem złożyć ślub... ślub, którybym
zapamiętał. W tym celu kazałem otworzyć trumnę
i rękę wsunąłem pomiędzy kwiaty, tam będące. Do-
tknąwszy palcami czoła siostry, zaprzysięgiem w du-
chu, że nigdy już żadnego trunku nie dotknę. Do-
trzymałem tej przysięgi. Choć trudno mi było w tym
stanie ducha, przy wszystkich mych zgryzotach —
dotrzymałem jej — a temu, co uczyniłem, nadano
błędne znaczenie.

Ostatnie słowa wypowiedział ciszej, z lekkim
odcieniem goryczy.

Wyjaśnienie to było zupełnie niespodziewane
i tak korzystne zrobiło wrażenie na wszystkich,
którzy w tym czynie właśnie dopatrywali dowodu
winę, że ogólne uczucie ulgi dało temu wyraz. Prze-
wodniczący uspokoił audytorium, a mr. Moffet ba-
dał dalej:

— Czy wsuwając w ten sposób rękę do tru-
mny, by wykonać przysięgę, wpuściłeś pan co do
trumny?

— Nie. Ja w rękę nic nie miałem. Nie miałem
w rękę pierścionka i nie wpuściłem go. Dotknąłem
tylko jej czoła.

Te słowa znowu poruszyły salę. Z dalekiego
kąta doleciał cichy, łkający płacz kobiety, który ulgę
przyniósł ogólnemu napięciu. Obejrzałem się i zoba-
czyłem Ellę, skuloną z przestachu pod wzrokiem
zgorszonych rodziców. Spojrzałem na Artura; stał
spokojny i niewzruszony, patrząc na swojego obrońcę.